

Dzień Indyka

Byłem na obiedzie indyka, czyli na Thanksgiving dinner, w jednej z polskich restauracji w naszym mieście. Obiad był smaczny i dobrze podany, bogaty w przystawki warzywne, które w Polsce za moich czasów zupełnie nie były popularne, a tutaj rodacy serwują je z takim znanstwem, jakby były naszym narodowym zwyczajem. Przy moim stoliku siedziało osiem osób, trzy kobiety i pięciu mężczyzn. Paru z nich było na lekkim gazie z dużą dozą kontraktorskiego humoru, co można w naszym rodzimym języku polskim określić jako humor budowlańców. Średnia wieku kobiet powyżej 40 lat. Mężczyźni raczej młodzi, choć pan Józiu, warszawiak, był już po 50. On jeden zawyżał średnią wieku, on też zalał pałę, trochę marudził, przynudzał, trochę nachodziły go smutki i rozrzewnienia, ale trzymał się dzielnie i tzw. fason warszawski też.

Kobiety w naszym towarzystwie były rozrywane i adorowane. Nieomal pieszczone wzrokiem i z wielkim zapalem całowane przez mężczyzn po rękach. Wiadomo, emigracja przeważnie jest dla samców, więc samice są traktowane nad wyraz dobrze, a w wielu przypadkach lepiej niż własne żony samców. Samotność jest doskonałym nauczycielem kultury i uprzejmości wobec kobiet, a raczej dam, bo tak się mówi na kobiety w Chicago.

Mężczyźni, choć się nie upili, to jednak z każdym następnym kieliszkiem stawali się coraz bardziej nerwowi, a nerwowość przechodziła czasami w agresywność. W powietrzu, jak to zawsze bywa na imprezach zakraplanych alkoholem, wisiało niebezpieczeństwo wybuchu awantury czy nawet bójk. Wielokrotnie dochodziło do zaczepek słownych, które kiedyś osobiście jako młody chłopak bardzo lubiłem, bo były one takim zaproszeniem do walenia się po pyskach, co też chętnie dawniej robiłem, ale teraz z wiekiem drażniły mnie takie gęgania. Atmosfera stawała się z minuty na minutę dramatyczna, a na dodatek przysiadł się do naszego stolika pan Jureczek - elektryk od wysokich napięć, nie tylko elektrycznych, ale i towarzyskich. Kiedyś takiemu na dzień dobry należałoby dąć w ryło, złapać za kołnierz i wyrzucić dwoma, może trzema kopniakami za drzwi, ale w Chicago pełna kultura, tym bardziej że nie wiadomo, co facet ma w kieszeni, może jakiego „Gana” i w takim przypadku sprawna i szybka pięść niewiele może pomóc.

Pan Jurek jest typowym przedstawicielem tzw. emigracji zarobkowej, tj. takiej, co to bardzo kocha swoją ojczyznę i papieża, na komunistów głosuje, dawne czasy chwali, ale w Ameryce grzbiet ledwo co może rozprostować, bo nie ma czasu nawet na to, aby się po łysinie podrapać. A swoją śpiewkę rozpoczął mniej więcej tak:

- Moja stara i dzieci w Polsce mają wszystko, czego tylko dusza zapragnie: dom, samochód, luksus komunistyczny i kapitalistyczny dobrobyt, futra i kożuchy. Sama nie wie, w którym ma łązić. Rodzina ogląda telewizję satelitarną, a dzieci mówią po angielsku lepiej niż niejeden Amerykanin tutaj w Chicago.

- Wszystko?... – zareagował zdziwieniem Pan Tadiusz, kolega pana Jureczka, też kontraktor, przyjaciel i brat od wódczanej matki, grecki hrabia.

- Wszystko - potwierdził pan Jureczek.

- To także ma jakiegoś młodego gacha, który właśnie teraz nad ranem masuje jej plecy, bo ty chłopie o wszystkim pamiętasz, ale nie o tej sprawie. A jej do pełnego szczęścia na pewno tylko tego brakuje, a kto wie, czy to nie jest najważniejsze. Twoje futra i kożuchy... To możesz sobie gdzieś schować, ona potrzebuje chłopca do grzania w nocy, a nie futra ty barania głowo.

Nastała cisza. Całe towarzystwo nabrało wody w usta i zaniemówiło. Pan Jureczek spuścił głowę, a grecki hrabia utkwił swój wzrok w jego łysinie. Za taką wstawkę słowną można było dostać z byka albo z półobrotu w szczękę, że ruscy chirurdzy by jej nie poskładali. Przez chwilę myśleliśmy, że rzucą się na siebie jak dwa wilki, a wtedy ktoś trzeci zdrowymi kopami pod żebra ich rozdzieli i będzie zabawa na sto dwa, i będzie o czym opowiadać ze dwa tygodnie, ale nic takiego nie nastąpiło. Przez chwilę moment można było słyszeć pulsującą krew w żyłach biesiadników. Pan Jureczek jakby zapadł się w siebie, mina mu skwaśniała, co spowodowało, że twarz mu nabrzmiała jeszcze bardziej nieprzyjemnie i określenie jej jako mordy byłoby jak najtrafniejszym. Długo się namyślał zanim odpowiedział:

- Moja baba pewnie że ładna, to i chłopcy na nią lecą. Co ty sobie myślisz w kółko golony, że ona nie podoba się chłopom? Jest piękna jak laleczka, cała wieś się za nią ogląda, jak idzie do kościoła. A ty co sobie myślisz, że twoja to święta, może sobie zaszyła, co?

Po raz drugi nastąpiła chwila grobowej ciszy. Zaciskali pięści i patrzyli na siebie jak dwa głodne wilki, co to w każdej sekundzie mogły rzucić się na siebie i łby sobie poodgryzać. Całe szczęście, że do naszego stolika podeszła kelnerka z pytaniem, czy nam czego nie brakuje i jej chwilowa obecność rozluźniła towarzystwo.

Jak już wspominałem, obiad z indyka, czyli największe amerykańskie święto obchodzone przez wszystkich Amerykanów i przez wszystkie grupy etniczne, przebiegał bardzo elegancko i bez większych zakłóceń. Rodaków rozmowy na emigracji mają to do siebie, że można przy stole pogawędzić i miło powspominać stare dobre czasy. A sam stół dla nas Polaków ma bardzo duże znaczenie, nie tylko symbolu jedności rodzinnej. Na emigracji

jest łącznikiem starych dobrych tradycji z nadzieją, że po powrocie do kraju znowu się przy nim zasiądzie. Tutaj niewiele jest stołów, niewielu rodaków ma własne kuchnie. Jedyne mają je ci, którzy tutaj zostają na stałe, którzy przyjechali całymi rodzinami, kawalerzy z odzysku o tych rzeczach nie myślą.